GLOBALNIE · ANALIZA

ROK BEZ TRUMPA, KŁOPOTY BIDENA. CO DALEJ Z AMERYKĄ?

Kacper Kita · 18 lutego 2022



20 stycznia minął rok, gdy Joe Biden został zaprzysiężony na 46. prezydenta Stanów Zjednoczonych, a demoliberalny establishment świętował zwycięstwo nad prawicowym populizmem. Demoniczny Donald Trump został wówczas zablokowany we wszystkich mediach społecznościowych i groził mu prawny zakaz ponownego ubiegania się o urząd prezydenta. Nowy lokator Białego Domu ogłosił natomiast tryumfalnie „America is back". Po 12 miesiącach od tego wydarzenia poparcie dla Bidena jest jednak znacznie niższe, od tego, gdy zaczynał urzędowanie, tendencja stale spadkowa, a wygrana Republikanów w listopadowych wyborach do Kongresu prawdopodobna. Co poszło nie tak?

A jednak Biden

Na początek zauważmy, że zmianie władzy w USA w 2020 r. – podobnie jak tej z 2016 r. – towarzyszyło mnóstwo mitów, teorii spiskowych i dramatycznych doniesień o tajnych planach, które mają wejść w życie „wkrótce" lub „natychmiast po przejęciu Białego Domu". Przede wszystkim od listopada słyszeliśmy i czytaliśmy, że wybory zostały sfałszowane, sądy to udowodnią, a Trump pozostanie w Białym Domu. Gdy mówiłem lub pisałem, że polityczną oczywistością jest zaprzysiężenie Bidena w dniu 20 stycz-

nia, spotykałem się z komentarzami sugerującymi mi żydowskie pochodzenie, pracę dla CNN albo „nierozumienie z Polski, co się naprawdę dzieje w Ameryce". Widziałem tych nieszczęśliwych ludzi na Twitterze, często poczciwych amerykańskich i polskich patriotów, którzy naprawdę byli głęboko przekonani, że już wkrótce, już teraz, zaraz wszystko się odwróci. „Jeszcze dzień, jeszcze dwa, wszystko się odmieni, wszystko się ułoży jak w kartach"... A dni do 20 stycznia było coraz mniej.

Polityczna wiara często mieszała się z religijną, tak jak u arcybiskupa Vigano, piszącego do Donalda Trumpa kolejne wiernopoddańcze listy wzywające go do stanięcia na czele walki z „globalnym spiskiem zawiązanym przeciwko Bogu i ludzkości". Pamiętam wpis podany dalej przez jednego z Polish Americans, gorącego zwolennika tezy o utrzymaniu się Trumpa i jednocześnie zaangażowanego tradycjonalisty katolickiego – „Nie, Joe Biden i Kamala Harris nie wejdą po prostu do Białego Domu 20 stycznia. To niemożliwe. Ten koszmar nie może się zrealizować". Nie, bo nie. To byłoby zbyt straszne.

Najpierw mieliśmy czekać na „wielki zwrot" w głosowaniu Kolegium Elektorów. Potem na sądy. Wreszcie przyszedł nieszczęsny 6 stycznia, podczas którego wiceprezydent Mike Pence miał zatrzymać certyfikację wyboru Bidena i Harris, uzurpując sobie do tego kompetencje. Najbardziej zaangażowani zwolennicy Trumpa ruszyli na Kapitol, żeby obronić władzę swojego przywódcy. Dziś w niektórych kręgach trumpowskiej prawicy możemy z kolei przeczytać, że sam atak na Kapitol był inspirowany albo wręcz zorganizowany przez *deep state*.

Mogliśmy zaobserwować ciekawe zjawisko. Sporo prawicowców, którzy zwykle z namiętnością przekonują do „realnej", wyzbytej wszelkiej moralności polityki i rozmawiania z każdym przywódcą sprawującym rzeczywistą władzę, tym razem wzywali do stanięcia po stronie polityka, który właśnie w widowiskowy sposób ją tracił, ale miał rzekomo moralną i ideową słuszność. Sam nie wiem też, jaka sytuacja gorzej świadczyłaby o Donaldzie Trumpie – ta z wersji „oficjalnej", w której po prostu przez 4 lata więcej mówił, niż robił, przegrał wybory, a później gorącą retoryką podburzył część sympatyków do z góry skazanego na niepowodzenie ataku na siedzibę Kongresu, którą sam obserwował z wygodnego fotela, a za udział w którym wielu z nich trafi na długie lata do więzienia? A może ta z wersji „spiskowej", w której Trump był tak nieudolny, że przez 4 lata ogromnej władzy prezydenckiej nie był w stanie zatrzymać sfałszowania wyborów, a wszystkie jego kolejne nominacje w podległych mu służbach, resortach i wymiarze sprawiedliwości okazywały się nieudane – zawsze na górę wypływali „zdrajcy" z *deep state*? Przeciwko tezie o fałszerstwach wyborczych jasno występowali w końcu choćby nominowany przez Trumpa po dwóch latach rządów prokurator generalny William Barr.

Polityczny tryumf bezwładności

Od początku słyszeliśmy też wiele „pewnych" doniesień o tym, że Joe Biden jest tylko marionetką, a prawdziwą władzę będzie sprawować wiceprezydent Kamala Harris. Mogliśmy przeczytać, że Biden wkrótce umrze, zrezygnuje zaraz po zaprzysiężeniu albo zostanie obalony przez Kamalę przy pomocy 25. poprawki do amerykańskiej Konstytucji, pozwalającej na stwierdzenie przez wiceprezydenta i większość ministrów umysłowej niezdolności prezydenta do pełnienia obowiązków. Takie myślenie nie było domeną jedynie wrogich Bidenowi prawicowców. 20 stycznia zeszłego roku wpis „Zakończyła się era Trumpa. Zaczęła era Kamali Harris" popełniła również Katarzyna Lubnauer, szefowa .Nowoczesnej. Na uwagę „Myślałam, że wygrał Biden" poseł Lubnauer odpisała „Poczekajmy".

Harris rzeczywiście była podczas kampanii aktywnie promowana przez wrogie Trumpowi demoliberalne

media. Stała się ich pieszczoszką, chociaż jedynym jej tytułem do wysokich stanowisk jest jej płeć i kolor skóry, a nie szczególne kompetencje czy osiągnięcia. Robienie z Kamali totemu nowej, nie-białej i nie-chrześcijańskiej oraz nie-europejskiej kulturowo Ameryki, jest o tyle zabawne, że obecna wiceprezydent wcześniej sama startowała na prezydenta, ale jej kampania zakończyła się kompletną klapą. Pod koniec prawyborów Demokratów jej poparcie, nawet wśród czarnoskórych, było rzędu 1%. Z drugiej strony Harris stała się ucieleśnieniem zła dla wielu sympatyków Trumpa, przedstawiających ją jako „komunistkę" czy ideową lewicową rewolucjonistkę.

W rzeczywistości Kamala jest po prostu ciemnoskórą Hillary Clinton – płynącym z prądem sprawnym demoliberalnym aparatczykiem grającym na swojej płci i rasie (Hillary mogła grać tylko na płci). Warto przy tym zauważyć, że Harris absolutnie nie reprezentuje czarnoskórych niewolników, których krzywdziła dawna Ameryka. Jej matka to Hinduska, która przyjechała do USA w 1958 r., a ojciec pochodzi z Brytyjskiej (!) Jamajki i pojawił się w USA w 1961 r. Potomkiem Kenijczyka, który jedynie studiował kilka lat w USA, był też zresztą Barack Obama.

> Kamala jako reprezentantka „uciśnionych" i „ofiar" przeciwko „opresyjnemu systemowi" ma sens jedynie wtedy, gdy nie interesują nas realne historyczne krzywdy konkretnej grupy – czarnych niewolników z USA i ich potomków poddawanych segregacji rasowej itp. – ale przeciwstawienie z definicji wszystkich czarnych wszystkim białym w wielkim, historycznym starciu, które zostanie zakończone dopiero wtedy, kiedy zniknie „białość" jako taka.

Pracą nad tym zajmują się postmodernistyczni „naukowcy", tacy jak Robin DiAngelo, profesor Uniwersytetu w Waszyngtonie specjalizująca się w „edukacji wielokulturowej" i walce z „toksyczną białością". Według profesor DiAngelo częstą formą rasizmu jest np. nadmierne uśmiechanie się do czarnoskórych przez białych.

W praktyce minął rok rządów Bidena i dokładnie nic nie wskazuje na to, by miał on być zastąpiony przez Kamalę na jakimkolwiek etapie swojej kadencji. Oczywiście mówimy o 79-latku, więc niczego nie można całkowicie wykluczyć. Po Bidenie widać często zmęczenie albo rozkojarzenie, ale na razie wieści o jego rychłej utracie możliwości sprawowania urzędu z powodu wieku okazały się mocno przedwczesne. Zapowiedzi bliskiej zdrowotnej zapaści Bidena pojawiają się bez przerwy od kwietnia 2019 r., czyli momentu ogłoszenia startu w wyborach przez obecnego prezydenta. To już prawie trzy lata. Biden przetrwał jednak cały ten czas. Wziął udział w jedenastu debatach na żywo podczas prawyborów Demokratów, podczas których nierzadko musiał na szybko odpowiadać na ataki na siebie. Zdobył jednak nominację, mimo bardzo słabego początku. Później Biden wziął udział w dwóch debatach z Donaldem Trumpem, również niemiłosiernie mu dogryzającym. Wszystko to przetrwał, nie mdlejąc i nie zaliczając żadnej wielkiej gafy ukazującej go jako człowieka niezdolnego do bycia prezydentem – choć Trump całą kampanię atakował go za wiek i nazywał „śpiącym Joe". Co więcej, Biden zapowiada, że zamierza ubiegać się w 2024 r. o drugą kadencję na stanowisku.

Wszystko to pokazuje, że najbardziej prawdopodobnym scenariuszem w polityce jest zawsze bezwładność i spokojne trwanie bez wielkich, widowiskowych zmian. To zresztą pokrywa się z charakterystyką Joe Bidena i jego ofertą dla wyborców w 2020 r. Od trzydziestego roku życia nieustannie obecny na sz-

czytach waszyngtońskiej polityki Biden personifikował establishment i spokojne zarządzanie „żeby było, tak jak było". U Bidena, zgodnie z prawidłami demokracji liberalnej, politycy zasadniczo zajmują się administrowaniem, a nie wielkimi projektami. Administracja wypełniona znającymi się od lat, albo i dekad, funkcjonującymi w tym samym paradygmacie ideowo-politycznym urzędnikami nie wymaga aktywnego prezydenta. Inaczej niż Trump, Biden nie zarządza przez chaos, nie wyrzuca co chwila współpracowników, nie dobiera sobie specjalnie ludzi o sprzecznych poglądach i nie generuje sztucznych konfliktów między podwładnymi.

Biden oczywiście całkowicie popiera liberalno-progresywny kierunek „dekonstrukcji" historycznej Ameryki. Nie neguje w najmniejszym stopniu demoliberalnego paradygmatu, w ramach którego funkcjonuje całą karierę. Wspiera jak może aborcję na życzenie i agendę LGBT+, a nawet eksperymenty na dzieciach nienarodzonych. Popiera masową imigrację spoza Europy i krytyczną teorię rasową. Jednocześnie jednak, tak jak przez całą karierę, jest w realizacji tych celów ostrożnym pragmatykiem. Gdy napór latynoskich imigrantów na granicę jest zbyt duży, a amerykańskie służby nie radzą sobie z nim, to Kamala Harris jedzie do Gwatemali i głosi „nie przyjeżdżajcie". Oczywiście chce, żeby przyjeżdżali, a odsetek białych pochodzenia europejskiego w USA spadał. Ale chce też, żeby działo się to w bardziej uporządkowany sposób. Czas i tak gra na jej korzyść, a zbyt wiele karawan na granicy naraz to problemy dla państwa.

Globalny ład oparty na zasadach?

Biden okazał się też pragmatykiem w ramach demoliberalnego paradygmatu w polityce zagranicznej. Główny cel jest jasny – utrzymanie amerykańskiej hegemonii oraz promocja „demokracji i praw człowieka" w rozumieniu demoliberalnym. Jedno uzupełnia drugie w naturalny sposób. Nowa administracja podtrzymała kurs Trumpa na rywalizację z Chinami. Chiny są jednocześnie największym rywalem Ameryki w walce o pozycję światowego numeru jeden (co bardzo obchodziło Trumpa jako amerykańskiego nacjonalistę) i największym zagrożeniem dla światowego prymatu paradygmatu demoliberalnego (co Trumpa niewiele ruszało). Jednocześnie USA za Bidena stara się unikać otwartego konfliktu z Pekinem, utrzymując stałe kanały komunikacji z Chińczykami. Amerykanie koncentrują się na cierpliwym przekonywaniu sojuszników do trzymania dystansu wobec Chin oraz konkretnych, mało spektakularnych działaniach w sferze gospodarki, handlu czy cyberbezpieczeństwa.

CZYTAJ TAKŻE: Trzy grzechy główne USA w hegemonicznej rywalizacji z Chinami

Podczas słynnego przemówienia w lipcu 2017 r. prezydent Trump powiedział słuszne słowa: „Zasadniczym pytaniem naszych czasów jest, czy Zachód ma wolę przetrwać". W Trumpowskiej retoryce źródłem odrodzenia USA i krajów Europy miał być powrót konkretnych narodów do historycznej tożsamości zakorzenionej w chrześcijaństwie. Chiny, a w dalszej kolejności ekspansja islamu, miały być wielkimi zewnętrznymi zagrożeniami, które pobudzą dekadenckich Amerykanów i Europejczyków do działania. Wrogiem wewnętrznym miała być liberalno-progresywna elita polityczna, medialna, biznesowa, akademicka itd. Polityczna nieudolność Trumpa oraz jego niezwykłe umiejętności oratorskie sprawiły, że jego prezydentura odbiła się bardziej w sferze szeroko pojętej kultury niż polityki.

> Biden i jego ekipa – bo mamy tu do czynienia niewątpliwie z rządami bardziej kolektywnymi – poniekąd stawiają to samo pytanie. Dla nich jednak „Zachód" jest całkowicie tożsamy z demolibe-

> ralizmem, a „zachodnie, uniwersalne wartości" to najnowsze generacje praw człowieka odnoszące się do aborcji, multikulturalizmu czy agendy LGBT+. Rozprzestrzenianie ich uważają za dziejową misję Ameryki. Wrogiem pozostają Chiny, ale wewnętrzny przeciwnik w ramach „kolektywnego Zachodu" się zmienia – to przede wszystkim „prawicowi populiści" i wszelkiego rodzaju rządy uznane za niedostatecznie demokratyczne.

Oczywiście pewne rzeczy pozostają niezmienne, np. sojusz Waszyngtonu z Arabią Saudyjską, z którą teoretycznie Trump powinien rozluźnić więzy ze względu na jej wahabizm, a Biden ze względu na jej twardą niedemokratyczność. Pragmatyczna, otwarta na dialog polityka oznaczała także powrót do negocjacji z Iranem. Administracji Bidena nie udało się jednak uzyskać żadnych sukcesów na tym polu. Zarówno podczas 6,5 miesiąca końcówki rządów opcji relatywnie prozachodniej w Teheranie, jak przez ostatnie pół roku, odkąd prezydentem Islamskiej Republiki został „twardogłowy" Ebrahim Raisi.

Zdecydowanym cieniem na wewnętrznej i zewnętrznej pozycji Bidena położyło się natomiast zakończenie trwającej 20 lat wojny w graniczącym z Iranem Afganistanie. Widowiskowe przejęcie władzy przez talibów – postaci wręcz groteskowo odpowiadających najgorszym demoliberalnym lękom przed „powrotem do średniowiecza" – nastąpiło mimo dwóch dekad ogromnego wysiłku, tysięcy ofiar i wydania miliardów dolarów amerykańskiego podatnika. Błyskawiczna ewakuacja amerykańskich żołnierzy była szeroko odebrana jako poniżająca dla USA. Tendencja narastała od dłuższego czasu, ale to właśnie w sierpniu, gdy głośna była sprawa Afganistanu, linie czerwona i zielona przecięły się gwałtownie. Więcej Amerykanów zaczęło w sondażach deklarować negatywną ocenę prezydentury Bidena niż pozytywną. Na starcie, w styczniu 2021 r., Joe Biden miał spory kredyt zaufania – średnio 53% ocen pozytywnych i 36% negatywnych. Dziś ma 53% ocen negatywnych, a tylko 42% pozytywnych. Praktycznie identyczne są oceny wiceprezydent Kamali Harris – na starcie 55% pozytywnych i 32% negatywnych, a dziś 55% negatywnych i 45% pozytywnych (dane podaję za średnimi obliczanymi przez serwis 538.com).

Wewnętrzny zastój

Bidenowi nie pomaga również zmęczenie przeciągającą się pandemią oraz jej negatywne skutki gospodarcze. Co więcej, mimo entuzjazmu po wygranej nad Trumpem w listopadzie 2020 r. i uzyskaniu dwóch mandatów senatorskich z Georgii w styczniu 2021 r., Biden nie posiada stabilnej większości w Senacie. W wyższej i zdecydowanie ważniejszej izbie amerykańskiego parlamentu zasiada po 50 Republikanów i Demokratów. Gdy w głosowaniu padnie remis, decydujący głos ma wiceprezydent Harris, więc formalnie większość w Senacie mają Demokraci. W praktyce jednak część ambitnych planów administracji blokuje dwoje centrowych senatorów Demokratów reprezentujących stany, w których silna jest prawica – Kyrsten Sinema z Arizony i Joe Manchin z Wirginii Zachodniej. Sinema w 2018 r. była wielbiona przez media jako pierwsza biseksualna senator, dziś jest jedną z najbardziej nielubianych na lewicy postaci. Zależy jej bowiem bardziej na utrzymaniu swojego mandatu niż na realizacji progresywnej agendy.

W ten sposób w Senacie ugrzązł sztandarowy program Bidena – Build Back Better Act – dotyczący polityki socjalnej i klimatycznej. Ustawa została zablokowana przez Manchina mimo obniżenia łącznych wydatków z 3,5 do 2,2 biliona dolarów. Bidenowi udało się za to przeforsować federalny program rozbudowy i modernizacji infrastruktury wart 1,2 biliona dolarów, który po negocjacjach dotyczących jego dokładnego kształtu poparło w Senacie również 19 senatorów Partii Republikańskiej, w tym jej lider Mitch Mc-

Connell. Na nieszczęście dla Bidena ten chyba największy jego sukces przypadł jednak dosłownie na kilka dni przed zdobyciem Kabulu przez talibów i szybko został przysłonięty przez sprawę Afganistanu.

CZYTAJ TAKŻE: Młot na liberałów. Tucker Carlson, najpopularniejszy dziennikarz w USA

Nieudana restauracja? Powrót Trumpa?

Rok po swoim odejściu z Białego Domu silną pozycję w Partii Republikańskiej zachowuje Donald Trump. Rok temu wydawało się, że były prezydent może zostać wyrzucony na margines, wymazany z historii i napiętnowany jako współczesna inkarnacja Szatana (Hitlera) w demoliberalnym imaginarium. Ostatecznie jednak establishmentowi Republikanie odrzucili propozycję impeachmentu *post factum* i zakazania Trumpowi ponownego startu w wyborach. Jedynie 7 na 50 senatorów Republikanów poparło w lutym 2021 r. propozycję, a do uzyskania niezbędnej większości 2/3 potrzebnych było 17.

> Dziś, wobec spadku popularności Bidena i Harris, ponowny start Trumpa w 2024 r. wydaje się prawdopodobny, a jego powrót do Białego Domu możliwy. Poprzedni prezydent podtrzymuje zainteresowanie sobą i zachowuje swoją pozycję w partii. Kluczowe w najbliższym czasie będzie jego zaangażowanie w prawybory partyjne przed wyborami do Kongresu, które odbędą się 8 listopada 2022 r, a więc już za nieco ponad pół roku.

Jeśli Trump będzie konsekwentnie popierał jedynie lojalnych wobec siebie i swojej agendy polityków, będzie miał szansę „oczyścić" partię ze sporej części centrystów i „umiarkowanych". Trzeba jednak brać pod uwagę, że podczas swoją kadencji w Białym Domu Trump delikatnie mówiąc nie miał najlepszej ręki do kadr. Często konfliktował się ze współpracownikami albo dobierał ludzi o poglądach sprzecznych z tym, co głosił. Doprowadzało to do szewskiej pasji jego pierwotnych sympatyków, „oryginalnych trumpistów", takich jak Ann Coulter czy Mike Cernovich.

Trump stale podtrzymuje lojalność swojej bazy, organizując wiece dla sympatyków, którzy stale ściągają tysiącami, by posłuchać oratorskich popisów swojego idola. Polacy w lipcu 2017 r. na własnej skórze przekonali się zresztą, jak dobre przemówienia potrafi mieć Trump. Za każdym razem, gdy były prezydent występuje, skupia na sobie większość uwagi amerykańskich mediów. Przykładowo 15 stycznia Trump wygłosił mowę we Florence w stanie Arizona, gdzie minimalnie przegrał w 2020 r. W swoim przemówieniu kontynuował retorykę, że został oszukany, a jego najbardziej oddani sympatycy wystąpili w koszulkach i czapkach z napisem „TRUMP WON" („TRUMP WYGRAŁ"). Wielu użyło też hasła „Let's go Brandon", symbolizującego „Fuck Joe Biden". To amerykański odpowiednik polskich ośmiu gwiazdek ukrywających pod sobą „Jebać PiS".

Trump nie ogłosił nadal oficjalnie startu i nie zrobi tego na pewno przed listopadowymi wyborami do Kongresu. Jest jednak nadal oczywiste, że gdyby się na to zdecydował, to nominację prezydencką Partii Republikańskiej miałby w kieszeni. Jedynym problemem, jaki mógł się pojawić między Trumpem a jego bazą, jest kwestia szczepionek. Były prezydent uważa bowiem szczepionki na COVID za osiągnięcie swojej administracji, którym prawica powinna się chwalić. Rzeczywiście, kiedy pandemia się zaczęła, ówczesny prezydent Trump zapowiadał szybkie pojawienie się szczepionek jako odpowiedź na chorobę, a część opozycyjnych Demokratów wątpiła, czy jest to możliwe w tak krótkim czasie. Część sympatyków

Trumpa uważa, że Pfizer specjalnie poczekał z poinformowaniem o 90% skuteczności swojej szczepionki na moment po wyborach, żeby nie pomagać prezydentowi. Firma ogłosiła to 9 listopada, kilka dni po zakończeniu głosowania, chociaż częściowe wyniki miała już pod koniec października i rozważała opublikowanie ich już na tamtym etapie.

Gdy w grudniu Trump poinformował, że przyjął trzecią dawkę szczepionki, dostał za to gwizdy od części sympatyzującej z nim zwykle widowni. Mówił też: „uratowaliśmy dziesiątki milionów na świecie dzięki szczepionce", „to my powinniśmy chwalić się tym jako naszą zasługą". Zdaniem Trumpa ci amerykańscy prawicowcy, którzy krytykują szczepionki, popełniają błąd. W ten sposób „gracie w ich grę, na czym oni zyskują" („you play right into their hands"). Jednocześnie zaznaczył, że nie popiera obowiązkowych szczepień. Podczas wiecu w Arizonie Trump twierdził m.in., że w niektórych stanach biali mają utrudniony dostęp do szczepionek kosztem ludności kolorowej.

Czy Trump może rzeczywiście wrócić w 2024 r.? Na razie kluczowe będą wybory listopadowe, w których wybrana zostanie cała Izba Reprezentantów i 1/3 Senatu. Bardzo możliwe, że Republikanie przejmą przynajmniej Izbę, a być może także Senat. Gdyby tak się stało, administracja Bidena straci możliwość przyjmowania ustaw bez porozumienia z opozycją. W amerykańskim systemie przyjęcie ustawy wymaga bowiem zgody obu izb. Szczególnie cenne dla Republikanów byłoby odbicie Senatu, którego zgody wymaga każda ważniejsza nominacja prezydencka – od poziomu ministrów i wiceministrów po sędziów federalnych, w tym sędziów Sądu Najwyższego w razie ewentualnego wakatu.

CZYTAJ TAKŻE: Śmierć George'a Floyda. Wyrok na Amerykę?

Zasadniczo ten rok pokazuje trwałe rozchwianie się amerykańskiego systemu politycznego. Polityczna restauracja demoliberalnego *status quo ante Trumpum* nie przyniosła zadowolenia większości Amerykanów i prostego powrotu tego, co było. Badania pokazują, że wszyscy czołowi politycy, w tym Biden, Trump, Kamala Harris oraz liderzy parlamentarni obu partii, mają znacznie więcej przeciwników niż sympatyków. Obok głębokiej politycznej polaryzacji i wzrostu niezadowolenia od lat postępuje też rozkład więzi społecznych. Atomizacja jest szczególnie wysoka tam, gdzie społeczność jest „różnorodna", a mieszkańców nie łączy wspólne pochodzenie czy religia. Stany Zjednoczone przestają być państwem o jednolitej, zakorzenionej w europejskiej tradycji kulturze i tożsamości. Jednocześnie co chwila powracają kolejne głośne procesy sądowe dzielące Amerykę, takie jak sprawa Dereka Chauvina skazanego za zabójstwo George'a Floyda (sukces lewicy) oraz sprawa uniewinnionego Kyle'a Rittenhouse'a (sukces prawicy). Wraz z zanikaniem dawnej większości pochodzenia europejskiego rosną napięcia na tle etnicznym i rasowym.

W tym miejscu kolejny raz wypada przywołać komentarz prof. Zdzisława Krasnodębskiego do wycofania się USA z Afganistanu. „Ta tradycyjna Ameryka, z wartościami takimi jak patriotyzm, religijność, wytrwałość, gotowość do walki za swój kraj, odeszła w przeszłość. Dziś społeczeństwo amerykańskie jest bardzo spolaryzowane, zróżnicowane, zatomizowane i – w wielkich metropoliach – zblazowane. Także elity amerykańskie to ludzie o zupełnie innych postawach życiowych, niż jeszcze dwie czy trzy dekady temu, kiedy ciągle były żywe tradycyjne wartości amerykańskie". Przewidywał też, że „tendencje izolacjonistyczne będą się w USA pogłębiały w najbliższych latach".

To ostatnie rzeczywiście widzimy również w postawie rosnącej części Republikanów i Demokratów wobec agresywnych działań Rosji. Jedni i drudzy są zmęczeni interwencjami zbrojnymi. Również administracja

Bidena od samego początku stawia na odwrót od militarnej obrony „amerykańskich wartości”, używając do tego narzędzi gospodarczych i dyplomatycznych. W najbliższych latach i dekadach prawdopodobne jest skupianie się Amerykanów na swoich wewnętrznych problemach i rywalizacji z Chinami. Możemy spodziewać się też destabilizacji systemu politycznego, np. coraz częstszych sytuacji, w której prezydent rządzi jedynie jedną kadencję, co w XX w. było rzadkością.

fot: flixir

Nagranie: https://www.youtube.com/watch?v=IZiJeHqMIKE

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/rok-bez-trumpa-klopoty-bidena-co-dalej-z-ameryka/

WSPÓŁTWÓRZ NOWY ŁAD

Za Nowym Ładem stoją czytelnicy, którzy dorzucają się do jego istnienia. Dołącz do nich — jednorazowo, w kwocie, która Ci odpowiada.

DOŁĄCZAM

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć